Nr. 21 We Lwowie, 1 listopada 1933 Rok 55



W dniu św. Huberta 3-go listopada 1933 r., będzie odprawioną doroczna

ŻAŁOBNA MSZA ŚWIĘTA

za dusze zmarłych członków Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, o godzinie 9-tej rano, przed ołtarzem św. Patrona łowiectwa, w kościele św. Elżbiety we Lwowie.

JERZY DYLEWSKI

Plan gospodarstwa łowieckiego

w Fundacji Kórnickiej

powiat śremski, woj. poznańskie.

sporządzony na podstawie danych, zaczerpniętych ze Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego i innych Krajów Słowiańskich. Wydanie nakładem Wł. Walewskiego w Warszawie w 1883 r.

Rozplanowanie gospodarstwa łowieckiego na terenie nieznanym, oczywiście, musi być przyjęte z zastrzeżeniem i posiada sporą ilość błędów, czy to in plus, czy in minus, jednakże w zasadzie nie odbiega ono zbytnio od rzeczywistości.

Pomimo usilnych starań doszukania się w posiadanej bibljotece możliwie najistotniejszych danych, nie znalazłem dokładnych opisów chociażby ilości zalesionej, nie mówiąc już o tak ważnym warunku, jak opisanie drzewostanów, co ma zasadnicze znaczenie przy racjonalnej hodowli jelenia, sarny i dzika, a nie małą odgrywa rolę i przy hodowli bażantów oraz innej, drobnej zwierzyny. Z czterech wymienionych w Sł. Geograf. leśnictw, wchodzących w skład dóbr kórnickich: Czmon, Drapałka, Mieczewo i Zwolno, tylko w leśnictwach Drapałka i Zwolno podano ogólny obszar, bez uwzględnienia łąk, nieużytków, dróg i zabudowań, które też pewną przestrzeń zajmują, a w planie gospodarstwa muszą być wzięte pod uwagę, jako nieużytki łowieckie.

Te same braki powtarzają się i w opisach dominjów, oraz folwarków, tak np. nie wymieniono obszaru: Bnin-Prowent, Runowo, Szczodrzykowo, Biernatki i Prusinowo, wobec czego niemożliwe jest ustalenie stosunku ziemi ornej do lasu, łąk i t. p.

Wreszcie w Sł. Geogr. nie podano też lustra wód w jeziorach Bnińskiem i Kórnickiem pod Skrzynkami, a także chociażby kilometrażu rzeki Maskawy i być może pomniejszych dopływów Warty, które przez dobra kórnickie przepływają, zajmując, lub dzieląc przestrzenie, co w gospodarstwie musi być wzięte pod uwagę.

Pozatem należałoby mieć późniejsze dane, bo być może, iż nawet ogólna przestrzeń Kórnika przez 50 lat, t. j. od chwili wydania wspomnianego Słownika wzrosła, lub zmniejszyła się.

Uwzględniając zatem te wszystkie dostrzegalne niedokładności i braki, starałem się rozwiązać to zadanie w sposób ani nie zmierzający do przesady, ani nie obniżający tej wielkiej wartości obszaru łowieckiego, jakim jest bezwarunkowo Kórnik.

Jak podano w cytowanem źródle, dobra kórnickie mierzą ogółem 26.080 mrg. 300 prętowych.

Jeśli uznamy, że drogi, wody, koleje żelazne, zabudowania folwarczne i wiejskie, oraz otaczające je w pewnym

promieniu przestrzenie, jako nieużytki łowieckie, zajmują 10% ogólnego obszaru, otrzymamy 23.472 mrg. terenu, na którym można przystąpić do racjonalnej gospodarki łowieckiej.

Dla ułatwionego rachunku odrzućmy jeszcze owe 472 mg., aby otrzymać okrągłą cyfrę 23.000 mg.

Niewiadoma kryje się jeszcze w ilości i jakości lasu, a także w zmianach, które przez okres 50 lat zaszły.

Leśnictwo Drapałka (2.085 mg) i Zwolno (754 mg) posiadają wobec danych Sł. Geogr. łącznie 2.839 mg., wobec czego nie znajduję innej drogi, jak przyjąć leśnictwa Czmon i Mieczewo za równe poprzednim z zaokrągleniem cyfry do 6.000 mg.

Zatem otrzymamy 17.000 mrg. przestrzeni bezleśnych i 6.000 mrg. lasu.

Tak znaczny obszar, leżący w pobliżu Poznania, stanowi bardzo odpowiedni teren do zaprowadzenia intensywnej hodowli zwierzyny łownej, która ze względów przytoczonych poniżej, da znaczne zyski i może się stać terenem do wspaniałych polowań zakrojonych na miarę dworską.

Ze zwierzyny jaka może być w Kórniku z pożytkiem hodowana, uwzględnić przedewszystkiem należy te rodzaje, które dadzą odpowiedni dochód przez sprzedaż jej częściowo w stanie bitym, po polowaniach, częściowo w stanie żywym — na eksport do Włoch i Francji.

Zasadniczo wszelką zwierzynę bitą kupuje z Polski Francja, atoli ze względu na znaczną różnicę ceny, jaką się osiąga przy sprzedaży zwierzyny hodowlanej — żywej i zwierzyny konsumcyjnej — bitej, należałoby, i to uważam za konieczne, pozostawić pewną ilość zwierzyny drobnej z etatu przeznaczonego na odstrzał — do chwytania żywcem w celu wysyłki za granicę, a częściowo i do gospodarstw hodowlanych w kraju.

W niniejszym planie, który w założeniu już, uważam za początek stworzenia fachowego kierownictwa na dobrach kórnickich, kieruje się takiem zestawieniem cyfrowem, które miałoby na względzie: 1) minimum nakładu w pierwszych latach, 2) stopniowe nasilenie zwierzyną terenów w tych rozmiarach, aby mogła egzystować nie czyniąc najmniejszych szkód w gospodarstwach rolnem i leśnem, 3) dać zyski i przyjemność polowania na większą, a właściwą skalę.

Ze względu na to, że zagranica prawie nie potrzebuje od nas żywej, grubej zwierzyny, przeznaczam ją całkowicie na polowanie i sprzedaż w stanie bitym.

Gdyby istniały sporadyczne wypadki zapotrzebowania na żywe egzemplarze, trzeba je zawsze uwzględnić, jako dające znaczniejszy zysk.

Na ogólną sumę zysków, składać się mogą następujące pozycje:

1) sprzedaż polowań myśliwym zagranicznym, czy to za pośrednictwem naszych placówek konsularnych, czy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, czy wreszcie przez Conseill International de la chasse w Paryżu;

2) sprzedaż odstrzału i polowań myśliwym polskim;

3) sprzedaż zwierzyny żywej na eksport;

4) sprzedaż zwierzyny żywej wewnątrz kraju;

5) sprzedaż zwierzyny bitej na eksport;

6) sprzedaż zwierzyny bitej na rynku wewnętrznym.

Rozpatrzmy kolejno możliwości zdobycia tych dochodów.

Jeśli postawiłem w pierwszym planie „sprzedaż polowań myśliwym zagranicznym", to zrobiłem to dlatego, że ta pozycja, przy odpowiedniej organizacji może dać największe dochody.

Za takie polowanie ofiarowywano po 2.000 fr. szwajcarskich od osoby, z tem, że zwierzyna będzie należała do myśliwego (gruba).

Co się tyczy punktu drugiego, t. j. sprzedaży polowań myśliwym krajowym, to istnieją duże możliwości urządzania takich polowań dla zamożniejszych ludzi, którzy chętnie za dobre polowanie zapłacą, byleby nabrali przekonania, że jest ono naprawdę dobrze i fachowo zorganizowane i prowadzone.

O następnych pozycjach mówić będę przy preliminarzu.

Przejdźmy teraz do rozplanowania hodowli poszczególnych gatunków zwierzyny.

Podstawą tej gospodarki w poznańskiem i ze względu na potrzeby zagranicy, jest kuropatwa i zając, a częściowo tylko bażant, sarna, jeleń, dzik i królik.

Ze względu znów na polowanie, które powinno również przynosić dochód, trzeba uwzględnić w pierwszym rzędzie: jelenia, dzika, sarnę, kuropatwę i zająca, a następnie dopiero bażanta, ptactwo błotne i wkońcu królika.

Widzimy więc, że kuropatwa i zając stanowią pod każdym względem zwierzynę pożądaną. Jeleń, dzik i sarna, jeśli nie mają być specjalnie hodowane dla polowania, muszą być utrzymane pod solidnym nadzorem, aby nie czyniły szkód w gospodarce leśnej i rolnej. (C. d. n.)

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

W obronie beletrystyki łowieckiej

Jak w piśmiennictwie każdej dziedziny życia naukowego, czy też gospodarczego, tak i w literaturze łowieckiej — beletrystyka zajmuje bezsprzecznie, zresztą zupełnie słusznie, jedno z naczelnych miejsc. Składa się na to przedewszystkiem jej piękno i popularność. Każde dzieło naukowe, chociażby najdostępniej napisane, nuży jednak czytelnika à la longue i zmusza go poniekąd do ograniczenia tego rodzaju lektury. Inaczej natomiast rzecz się przedstawia, gdy chodzi o utwór beletrystyczny. Dzieło takie to wypoczynek i rozrywka po całodziennej pracy, to też poczytność tego rodzaju literatury jest olbrzymia, bez względu na wiek, płeć i stanowisko społeczne. Beletrystyka każdej dziedziny życia dociera nawet tam, gdzie żadne poważniejsze dzieło naukowe nigdy prawa obywatelstwa nie uzyska i najmniejszego zainteresowania nie wzbudzi. Powieść, czy nowela, w której treść autor umiejętnie wplótł poważne nieraz zagadnienia, czy też wiadomości naukowe, podane popularnie i zajmująco, gdy chodzi o szersze warstwy społeczne — zdziała znacznie więcej, niż wyczerpujące, wielotomowe dzieło, dostępne tylko dla bardzo nielicznej garstki uczonych, lub specjalistów. To też literatura piękna jest nie tylko skarbnicą wrażeń artystycznych i kopalnią klejnotów mowy i stylu,

jest ona również niezastąpionym środkiem propagandy i dydaktyki.

Beletrystyka myśliwska, gdy chodzi o propagandę zasad prawdziwego łowiectwa, ma pierwszorzędne znaczenie. Bowiem od czasów najdawniejszych kwitnie w narodzie polskim umiłowanie do łowiectwa, nieraz zniekształcone, spaczone, jednak pokrewne szerzonym dziś zasadom prawidłowego polowania i hodowli zwierzyny. Każdy członek naszego społeczeństwa przeważnie nosi już we krwi atawistyczny pociąg do łowiectwa, każdy Polak z przyjemnością bierze broń do ręki, lub udaje się na polowanie, nawet w roli tylko obserwatora, a olbrzymia ilość osób, dziś obojętnie odnoszących się do myślistwa, posiada jednak na sumieniu, jeszcze z czasów młodości, szaraka, kuropatwę, lub chociażby wronę, czy wiewiórkę. Ludzie ci, aczkolwiek zasadniczo nie interesują się łowiectwem, to jednak powieść lub opowiadanie myśliwskie chętnie przeczytają. I tu właśnie piękna, ale niepozbawiona i cech propagandowych, literatura łowiecka, ma ogromne pole do działania.

Bo taki exmyśliwy nie zechce z pewnością wertować podręczników łowieckich, ale zachwyci się nowelą Ejsmonda. Można twierdzić z całą stanowczością, że żadna dotąd książka myśliwska nie obudziła iskry łowieckiej w sercach tylu ludzi, co nieśmiertelny „Soból i Panna" Weyssenhoffa. Powieść ta, którąby słusznie nazwać można poematem myśliwskim, otworzyła oczy całemu szeregowi późniejszych Nemrodów i wybitnych nawet pisarzy łowieckich. Utwory Weyssenhoffa kształtowały i rzeźbiły z grubsza przyszłych działaczy z pod sztandaru św. Huberta, a wygładzały ich i precyzowały artystyczne dzieła Zaborowskiego i Korsaka, nie licząc plejady młodszych autorów, wyrosłych z posiewu tych trzech potentatów beletrystyki łowieckiej. I dzisiaj jeszcze więcej „nawróconych" zdobywa łowiectwu nowela, czy feljeton, niż dzieło poważne. Z pewnością więcej zwolenników wśród szerszego ogółu pozyskał Włodzimierz Korsak „Pieśnią puszczy", niż „Rokiem myśliwego".

Gdy chodzi o czasopisma łowieckie — utwory beletrystyczne muszą w nich również zajmować poczesne miejsca. Opowiadanie, napisane z talentem, nowela, czy też feljeton, ożywiają treść całego numeru i zjednywują mu czytelników. Niejeden z pośród niemyśliwych czytuje początkowo „Łowca" właśnie dla tych utworów poetyckich, drukowanych na jego łamach, a potem, stopniowo dopiero zaczynają go interesować i inne artykuły, aż wreszcie sam się zapala do myślistwa. Ma to bardzo często miejsce w wypadku, gdy chodzi o dodatki łowieckie do prasy codziennej. Miałem możność o tem już niejednokrotnie się przekonać. Słowem i tutaj znaczenie literatury pięknej jest ogromne i stanowi ona pierwszorzędny środek propagandy.

Tymczasem w roku bież., prasowe organy łowieckie w Polsce, z wyjątkiem tylko „Łowca" lwowskiego, ogłosiły z niezrozumiałych dla mnie powodów, jakiś cichy bojkot wszelkich impresyj literackich. Redakcje zarówno „Łowca Polskiego", jak i częściowo „Trąbek" wileńskich zdają się zapominać o znaczeniu tego rodzaju artykułów, nie umieszczając nic z tej dziedziny. Naczelny organ łowiectwa, jak nazywa w jednym z artykułów p. W. Zabiełło „Łowiec Polski", od dłuższego już czasu ignoruje literaturę piękną na korzyść kinologji i balistyki, chociaż obie te dziedziny posiadają specjalne fachowe czasopisma, zaś „Łowiec Polski" musi być pismem wszechstronnem — organem całej rzeszy przeciętnych myśliwych, których wszelkie „fieldtrialsy" zbytnio nie obchodzą. Błąd ten, wobec stałego podnoszenia się ogólnego poziomu tego pisma, jest nie do darowania.

Podobnego postępowania nie da się wytłumaczyć brakiem miejsca, lub może materjału. Miejsce znaleźć się musi, ze względu na konieczność umieszczania takich utworów, czego starałem się dowieść na początku mego artykułu; co się zaś tyczy materjału, to o ile wiem, beletrystyka właśnie jest reprezentowana najliczniej w pracach napływających do każdej redakcji, a już zadaniem tej ostatniej, jest przeprowadzenie odpowiedniej selekcji i wybranie utworów naprawdę wartościowych, zpośród mnóstwa wypocin różnych pseudo-pisarzy łowieckich. Zwłaszcza „Łowiec Polski", który do niedawna płacił jeszcze honorarja autorskie — mógł chyba zdobyć się na jeden utwór beletrestyczny do każdego zeszytu. Najlepszym dowodem jest „Łowiec" małopolski, który, jak już niejednokrotnie w prasie zaznaczałem, jest pismem wspaniale redagowanem, a jednak bojkotu utworów literackich nie tylko że nie urządza, a przeciwnie — dział ten bardzo obficie reprezentuje.

Wileńskie „Trąbki Myśliwskie", redagowane bez zarzutu, gdy chodzi o artykuły z innych dziedzin wiedzy łowieckiej, mniej zdaje się zawiniły, zresztą i objętość ich częściowo takie postępowanie usprawiedliwia, lecz pamiętać należy o tem, że właśnie one, jako dodatek do dziennika codziennego, trafiają przeważnie w ręce exmyśliwych, lub zgoła niemyśliwych i na barkach tego pisma spoczywa zadanie propagowania przy pomocy beletrystyki, zasad prawidłowego łowiectwa. A kluczem do serc tych „upartych grzeszników" może stać się jedynie nowela, czy feljeton, nigdy zaś artykuł o prawodawstwie łowieckiem lub konkursach strzeleckich.

W szkicu tym wystąpiłem może zbyt ostro, jednak jako wielki miłośnik literatury i prasy łowieckiej, chciałem zwrócić tylko uwagę na zasadniczy błąd w jej redagowaniu i przez to przyczynić się do ulepszenia. Zresztą, zdaje się, że wszyscy pp. Redaktorowie polskich czasopism łowieckich znają moje intencje od dość dawna i wypowiedzeniem się dzisiejszem nie powinni poczuć się urażeni.



WŁADYSŁAW GACKI

Myśliwy i Rybak

(szkice i obrazy obyczajowe)

(Dokończenie)

W pewnej chwili Łęg odsunął kieliszek, powstał, poprosił gospodynię o trzy szklanki, zakrzątnął się koło swego plecaka i niebawem napełnił je z wielkiego termosa czarną, mocną kawą.

Czarodziejstwo szlachetnego napoju i tym razem nie zawiodło. Myśliwi ożywili się:

— Teraz dopiero wódka będzie mi smakowała! — rzekł major znacząco i pociągnął łyk kawy. — I skądże to taki specjał?

— Nie ruszam się bez maszynki do kawy. Sporządziłem rano w domu mojego przyjaciela, Marcina, gdzie ostatnio nocowałem.

— Jakiego Marcina? — padły naraz dwa pytania.

— Rybaka, który nas nosił na swej łodzi po Sanie. Panowie nie wiecie, jaki z niego rybak i choć nie strzela, myśliwy też, jeżeli chodzi o radę, gdzie, kiedy i czego należy szukać na Sanie. Panowie zauważyli może, jak on wiosłuje, zmagając się z prądem? Jakby go oburącz rzucał za siebie, nieprawda?

— Potężny w barach, wspaniale zbudowany! — rzekł doktór z powagą.

— On ma i duszę wspaniałą! — rzekł Andrzej tonem przekory.

Znów powstał, rozejrzał się po pokoju, otworzył drzwi przyległej izby, oświetlił zapałką.

— Czego pan tam szuka?

— Pianina. Pograłbym, gdyby panowie pozwolili...

— Jaka szkoda! — padło z ust majora.

— Pan szuka kultury w nędznej małopolskiej mieścinie, w traktjerni, mającej obecnie dwóch gości tygodniowo — pan szuka pianina? — rzekł doktór z goryczą. — Drogi panie, jeżeli nawet było, to już je zabrał komornik. O czem tu mówić, gdy nasza wieś już jada bez soli, zniszczona doszczętnie, a my wszyscy, t. zw. inteligencja będziemy siedzieć wkrótce na ziemi, gdy rozlecą się pod nami stołki, które się jeszcze trzymają...

Widząc, że zanosi się na wielki dyskurs polityczny, Andrzej zwrócił się do doktora z kurtuazyjnym uśmiechem:

— Pański ostatni strzał, doktorze, był wcale niezły, można go panu powinszować!

Mile połechtany w ambicji myśliwego, doktór się rozchmurzył:

— Chciałaby dusza do raju, ale da pan wiarę, że nie sposób się wyrwać, aby zapolować!...

Major zamówił nową butelkę wódki, przewidując dłuższą gawędę. Rad był ją nawiązać. Andrzej przechadzał się po pokoju.

— Lubię myślistwo — ciągnął major, nalewając sobie kieliszek — i cenię prawdziwych myśliwych. To są ludzie o głębszym oddechu. To wspaniale odrywa od codziennego deptaka. Aby był teren, strzelba na ramię i niech was wszystkich przyjaciół, poczciwców i drani! I te przygody, postoje, wspólne posiłki, ot jak w tej chwili, albo nasz popas dzisiejszy nad Sanem... Dobry apetyt, szczery śmiech...

I zauważając, że p. Andrzej poprawia rzemyki, ściskające futerał z wędziskami, ciągnął dalej:

— Czego jednakże pojąć nie mogę — to wędkarstwa, a myśliwy i jednocześnie rybak, to contradictio in adiecto.

— Pan to do mnie? — odpowiedział Łęg, stawiając wędziska w kącie. Otóż przyznaję się panu. Przed udaniem się na cietrzewie, cały dzień spędziłem nad Sanem, uganiając się za szczupakami. Brały, jak wilki zagłodzone!

— Tego właśnie pojąć nie mogę! I nie żal panu było dnia?

— Żal? Wszak to ode mnie zależało, jak go zużytkować.

— Na ten więc dzień wyrzekł się pan strzelby...

— Niczego się nie wyrzekam w promieniu własnych możności; korzystam tylko z warunków: dzień był wietrzny, słoneczny, poczciwy Marcin przygotował na powitanie parę mendli żywców, więc wybrałem wędkę.

— Jaki tu wybór pomiędzy kijkiem, moczeniem nitki w wodzie a polowaniem? Myślistwo — to ruch, wzmożone samopoczucie, niepokój, dramatyczne napięcie i triumf bystrości i zręczności! Myślistwo — to rozmach, panie bdzieju, to wesoła kompanja!

— Bardzo ładnie to ujmujesz, majorze — wtrącił protekcjonalnie doktór, zaciągając się cygarem. — Ja także nigdy nie miałem przekonania do wędki. Zresztą może to odpowiada mizantropom, ludziom znużonym...

Czując na sobie pytające spojrzenia, Łęg odpowiedział z właściwym mu uśmiechem:

— Nie chcę bronić, ani chwalić. W trzydziestym piątym roku życia powinienem był obchodzić 25-lecie wędkarstwa, niezadługo wypadnie dwudziestopięcioletni jubileusz mojego myślistwa. Wyobrażacie sobie panowie wędkarza, jako postać nędzną, skurczoną, próżniaka, bezmyślnie wpatrzonego w piórko na wodzie lub wylegującego się na murawie, najczęściej w stanie nietrzeźwym?

— Mniejwięcej tak — odparł doktór. — Istotnie w miejscach, wysiedziałych przez rybaków, widuje się często puste butelczyny.

— To nie jest jeszcze takie złe — odezwał się major, napełniając sobie kieliszek pod ostatni łyk kawy. — Mnie chodziłoby o co innego: co tu może być pociągającem? W jaki sposób mogą współżyć w jednej osobistości dwie odrębne natury: mizantropja, kontemplacja — z ekspansją, żywiołowością, z duchem towarzyskim?

— Pan to ujmuje zbyt po literacku, majorze, a to niezawsze jest najtrafniejsze. Jeżeli panowie życzą sobie, postaram się usunąć pozorne sprzeczności. Proszę sobie wyobrazić — poprostu, jak to jest. — Brzask. Dymi się oparem głąb wody. Życie budzi się i nikłe pluski pierzchają po złocącej się toni. Cisza — zapowiedź wszech możliwości. Rybak, ukryty w trzcinach, cierpliwie czeka. Nagle wychyla się i jednym mocnym ruchem podcina. Jest! Prężna, żywa siła, ukryta w głębinie! Cienkie wędzidło wygięte w pałąk, sznur pręży się. Ryba pociąga, szarpie wędę. Pilnuj się! Mam ją wydrzeć z żywiołu, który daje jej moc! Nie zwalczam pierwszego, gwałtownego oporu, rozkręcam wolno sznur z rolki. Gdy opór słabnie, nakręcam sznur na rolkę. Znów szarpie! Powtarzam manewr tak długo, aż opór zostanie złamany. Zwijam podówczas sznur równo i wolno, wytrzymuję słab-

sze targnięcia, aż mając zdobycz pod wierzchem, podrywam tak, aby łyknęła raz, drugi powietrza... Boć jeden ruch fałszywy, nie w porę, pozbawi mnie zdobyczy i wędki! Zmęczoną rybę wyprowadzam na miejsce, zgóry upatrzone lub wyjmuję z wody podsaczkiem.

— To bardzo interesująco opowiedziane, ale to przecież nie ma nic wspólnego z myślistwem — odparł major.

— Panowie przypuszczają, że to nie jest emocja, że to nie wymaga zmyślności i zręczności, aby taki „kawałek" wydobyć z wody? Mniemam, że podłoże psychiczne rybołóstwa, zwane niegdyś myślistwem rybnem i właściwego myślistwa, jest wspólne. Obadwaj są łowcami, działają w innych terenach, różnemi środkami. Są to jednakże najbliżsi sobie krewniacy. Myśliwy — wabi, rybak — nęci. Myśliwy — śledzi, tropi, podchodzi. Rybak, badając brzegi, rodzaj dna, również z wędą cicho podchodzi. Dobry myśliwy, jak żołnierz, jest wytrwały i czujny na stanowisku. Rybak czeka cierpliwie, z uporem — i czuwa. Strzał — to podcięcie ryby wędą: obadwa te momenty wymagają bystrości widzenia, miary w oku, opanowania wewnętrznego, aby to nie wypadło za wcześnie, ani zbyt późno. Wreszcie dewizą myśliwego:

„W Boga wierz,
Dobrze mierz,
Będzie zwierz!"

A rybaka:

„Czy bierze,
Czy nie bierze,
Zawsze w to wierzę!"...

A więc wiara!...

— Hahaha... To pyszne! — zabrzmiał tubalnym śmiechem major. — Muszę to zanotować. Proszę łaskawie mi powtórzyć.

P. Andrzej spełnił życzenie. Gospodyni wniosła zapowiedzianą herbatę z arakiem, podczas gdy major pisał na bibułce, powtarzając głośno wyrazy. Doktór mu dopowiadał.

— To mi się przyda do jakiego feljetonu, to bardzo dobre! — ciągnął major.

— Mimo zastrzeżenia, pan obronił godność wędkarza. Te analogje może i trafnie podpatrzone. Jednakże te porównania...

— Czy nie stanowią istoty rzeczy?... Ale mniejsza o to. Wędkarstwo jest zajęciem wyłącznie indywidualnem. — Myślistwo o tyle jest bogatsze, że może być uprawiane indywidualnie i zbiorowo. I przyznam się panom: gdyby mnie pozbawiono samotnego polowania z psem na kury, mówię — samotnego, bo myśliwy i dobry pies — to jedność, — polowania na cietrzewie z psem lub na tokach, włóczęgi po błotach za kaczkami, samotnego oczekiwania przelotów gęsi, kaczek, słonek — wyrzekłbym się polowania.

— Widocznie w pańskim charakterze przeważa skłonność do samotności — wtrącił doktor tonem konsyljarskim, lokując się wygodnie na wielkiej otomanie.

Nastąpiła dłuższa pauza.

— Jednakże, jak mi wiadomo, często bierze pan udział w zbiorowych polowaniach, więc to się równoważy — rzekł major, życzliwie wpatrując się w p. Andrzeja.

Zaskrzyły się oczy, strzeliły błyskami wnikliwemi. Łęg powstał.

— Czy się równoważy? Nie wiem. Ilekroć jednakże pragnę towarzystwa, jestem łowczym, a wtedy daję z siebie wszystko... To jest cała kampanja, gdy chodzi o grubego zwierza. Jest gromada, którą trzeba zorganizować, opanować, jednym natchnąć duchem! Na zbadanym terenie rozstawić i uruchomić naganke, tłum, by stała się ścianą ruchomą, przykuć myśliwych do wyznaczonych stanowisk, zabezpieczyć boki klamrami... Wydać zarządzenia i zasłuchać się w głosy lasu... Zespolić je czarodziejstwem wyobraźni z grą sygnałów — w potężną pieśń życia-walki i nadziei triumfu... I jak wódz, z bijącem sercem — oczekiwać należytego spełnienia rozkazu!..

Wyprostował się, jakby zasłuchany, w oczekiwaniu znaku, sygnału. Po chwili usiadł z uśmiechem wymuszonym i leniwie zapalił papierosa.

Doktór, przebudzony ciszą, przetarł oczy z drzemki z widocznem zakłopotaniem. Major, jakby nagle otrzeźwiony, powstał, przeszedł się kilka razy po pokoju i zajął dawne miejsce.

— Wybaczy pan może niedyskretne pytanie, trochę osobistej natury...

Łęg bystro spojrzał na biesiadnika.

— Ośmiela mnie ten dzień, wspólnie spędzony, ta nasza obecna kompanja. Nie wiadomo, kiedy, jak, gdzie się spotkamy, by móc z sobą mówić sprosta, szczerze, więc pojmuje pan... A mamy jeszcze sporo czasu i samego tu przecież pana nie zostawimy...

Łęg słuchał wpatrzony w majora.

— Pańskie słowa, nie, to — nie, cała pańska postać, właściwie, nie postać, postawa wewnętrzna, to jest ta własna gotowość do ruchu, do określonego działania, wzbudziła we mnie... Proszę mi wierzyć, to nie jest zwykła ciekawość. Uważam to za zagadnienie. Pozwoli pan zapytać?

— Proszę — odpowiedział Łęg po pauzie, bez zwykłej swobody. — Jesteśmy wszak obydwaj myśliwymi, możemy z sobą mówić, szczególnie w takiej sytuacji.

— Otóż, pan jakby się całkowicie zgrywał, przepalał docna... Mnie zastanawia, czy może to współczesnemu człowiekowi wystarczyć, — czy ograniczając się, nie marnuje się, nie zatraca siebie?

— Krótko odpowiem — na to dość trudne pytanie. Mniemam, że obiedwie dziedziny życia jednostki winny być jednakowo uprawnione: zarówno sfera zupełnie osobistego życia, jak ta dziedzina, którą jednostka zespala się ze zbiorowością przez udział w jej pracach i dążeniach. Przez wyłączenie czynnika pierwszego życie staje się udręką, egzystencją bez treści, nudą przewlekłą. W mojem życiu uwzględniam obiedwie potrzeby: łowię ryby, poluję w pojedynkę lub biorę udział w zbiorowych łowach — dorzucił po krótkim namyśle, z właściwym mu uśmiechem.

— Przepraszam, że indaguję, ale mnie jeszcze nie o to chodzi. Czy uprawnienie obydwu tych potrzeb, jednakże tylko w zakresie pańskich zamiłowań, może człowiekowi współczesnemu wystarczyć?

— Ach, o to chodzi?! — odparł Łęg po dłuższej pauzie. — Nie wierzę w metampsychozę, stwierdza się jednakże, że ludzie, żyjący w pewnej epoce, wykazują bardzo niejednakową zdolność przystosowania się do jej właściwości, do t. zw. ducha czasu. Myślę, że zawsze

istnieją ludzie niewspółmierni ze swoją epoką, przerastający ją duchowemi wartościami. Zdarzają się też jednostki, wyraźnie uwstecznione, usposobione anachronistycznie, które nie chcą lub nie mogą przystosować się do współczesności. Istnieją też przodownicy, właściwie — kierownicy, organizujący w taki lub inny sposób życie gromadzkie, zazwyczaj miernoty umysłowe, ambitni karjerowicze, demagodzy i spryciarze. Jest tłum, czyli niezorganizowane grupy, dające sobą rządzić, kierować i wyzyskiwać. Nie brak też nigdy wyrzutków, no i odpadków!

— Ponury obraz! — mruknął major, nalewając sobie kieliszek.

— Chcę zaspokoić do końca pańską ciekawość — mówił Łęg z rękoma w kieszeniach, rozglądając się po ścianach, suficie; na moment zatrzymał spojrzenie na drzemiącym doktorze. — Chciałby pan wiedzieć zapewne, do której z wymienionych grup jestem przynależny? Chyba do tych odpadków — rzekł po pauzie, zwracając się z uprzejmym uśmiechem do majora.

— Przesada!

— Bywają struktury dziwne, złożone, już nastawione na inną przyszłość, oporne i odporne na współczesną rzeczywistość ich środowiska, kraju. Dlatego też, choć nie jestem zwolennikiem polityki kolonjalnej, szczególnie angielskiej, myślę, że posiadanie własnych kolonij jest pożyteczne dla państwa, ułatwiając odpływ, różnym odpadkom.

— I wyrzutkom? — wtrącił major zgryźliwie.

— Nie, majorze, wyrzutków, jako własny produkt, należałoby przechowywać na własny użytek, w kraju ojczystym. Proszę pomyśleć: taka sobie ojczyzna zwykle lepiej się przedstawia z daleka, służy się jej chętniej na odległość, szczególnie wtedy, gdy metropolja zdoła wysunąć hasła, w swej ciasnocie dostatecznie wielkie, aby przez swą żywotność stały się popularnemi...

— A gdyby państwo wobec braku własnych kolonij zastosowało względem pana przymus, aby rozszerzyć zakres pańskich zainteresowań i działalności?

— Czyż nie ulegam przymusowi, wykonywując z przykrością, nieomal automatycznie, zresztą — jak ogromna większość ludzi, pracę zarobkową? Człowiek — to zwierzę społeczne, wytrzymałe, ale i przebiegłe. Szczególnie te odpadki, zawsze znajdują przejścia i furtki ucieczki, aby coś własnego z siebie uratować. Ja też ratuję się, jak mogę. Zresztą, niech państwo stosuje te pańskie środki, wtedy uznam siłę!

— Pan jest okropny człowiek! — rzekł major z robionym humorem. — I to pana wypełnia, zadowala?

— Nie odpowiem na to pytanie.

Twarz Łęga zastygła w zadumie. Oczy łyskały zimnemi blaskami:

— Odpowiem panu pośrednio: człowieka o jakiej takiej żywotności i samowiedzy nie rozpiera dosyt, pełnia wewnętrzna, lecz zawsze nurtuje w nim poczucie braku, a więc... Jestem odpadkiem, hahaha!...

Łęg śmiał się tłumionym, nieszczerym śmiechem.

— Pan jednak bardziej literacki ode mnie, choć pan nie pora się piórem? — rzekł major.

— Nie.

— Wydaje mi się jednakże postacią fantastyczną współczesny kulturalny człowiek, któryby na całym obszarze życia narodowego, w ramach własnego państwa, nie znalazł ani jednego punktu zaczepności dla pracy społecznej. Mnie, proszę pana, los też nie oszczędził: wysadzony z siodła, formalnie wykolejony, nie rezygnuję jednakże, nie wyrzekam się udziału w życiu narodu...

— Ja się również nie wyrzekam!

— Żarty, drogi panie, rybaczki i myślistwa!?...

— Jedno sprostowanie, majorze. Naród — to cała jego przeszłość, żyjąca we mnie i współczesne, otaczające jednostkę środowisko, i jakaś niewiadoma przyszłość, którą dziś trudniej, niż kiedykolwiek przewidywać. Nas, prawdziwych myśliwych nie weźmie się na frazes: patrząc, umiemy widzieć i trzeźwo myśleć.

— To może i słuszne — wtrącił major.

— Otóż żadna siła nie zmusi myślącego człowieka do podporządkowania całego siebie np. reklamie, zakłamaniu, opilstwu władzą, orgji — w jakiejkolwiek postaci i w jakichkolwiek warunkach.

Przynależność zaś do narodu, ta najpotężniejsza bodaj więź duchowa z ziemią, siła podświadoma, przekształcająca się w poczucie narodowości — to własne moje dobro, to mój prywatny majątek, to bogactwo osobiste każdego człowieka, które należałoby, jak uczucie religijne, zostawić każdemu na własny jego użytek. I nawet w szkole trzeba ostrożnie z tem poczynać, aby nie wypaczyć, nie obrzydzić.

— Uważa więc pan, że poczucie narodowości winno być jedynie źródłem natchnienia poetów i reformatorów religijnych?

— Własnem, najistotniejszem dobrem każdego człowieka.

— Cóż wobec tego proponowałby pan, jako podstawę organizacji kolektywu?

— To nie moja specjalność — odrzekł Łęg z właściwym mu uśmiechem. — Zresztą to nie da się w kilku słowach powiedzieć. Interesy gospodarcze grup społecznych, to są rzeczy konkretniejsze, dające się dokładniej określić, najbliżej poruszające jednostkę, ośrodek energji i skoordynowanie ich mogłoby zapewnić największe korzyści kolektywowi.

— To są rzeczy nie nowe — rzekł major posępnie. — Ale muszę przyznać, że współczesność sprawia panu nie mało ambarasu, czyż nie?

— Ja dalej jeszcze idę, majorze! Jabym wszystkich tych frantów, którzy wyzyskują te właśnie uczucia gromad ludzkich, żerując na nich, jabym ich powystrzelał, jak gawrony!

— Brawo! — krzyknął major. — Pan jest wspaniały w swej konsekwencji! — i huknął prawicą w stół.

— Co to? Kto strzelał? — zasapał przebudzony raptownie doktór.

— To był nieszkodliwy strzał majora — rzekł Łęg.

— Jabym się może przyłączył do tej pańskiej strzelaniny! Wystrzelać gawrony!

— Nie strzelałem jeszcze do ludzi. To wymaga także treningu — odrzekł Łęg z zimnym uśmiechem.

Gospodyni cicho wsunęła się do pokoju i oświadczyła, że zamówiona bryczka już czeka. Uregulowano rachu-

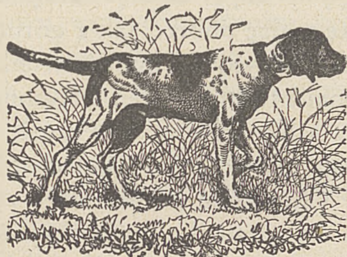
nek. Pożegnanie było krótkie. Major spostrzegł zasępioną twarz Łęga i dłużej zatrzymał jego dłoń:

— Sans rancune! — rzekł ciepłym głosem. Dziękuję za miłą gawędę. Rozwiał pan niektóre moje uprzedzenia.

— Nie mówię nigdy o tych rzeczach... Wypadło to jakoś zbędnie... Pan to sam wywołał, majorze!

Towarzysze pomogli wynieść i ułożyć bagaż. Andrzej Łęg wskoczył na bryczkę.

— Szczęśliwej drogi! — zabrzmiał dwugłos, stłumiony turkotem pojazdu i zimną wilgocią ponurej nocy jesiennej.



A. GROETSCHEL

Wojownicza locha

Było to 3 października 1904 roku. — Przecudny ciepły dzień jesienny — niebo bez chmur — lasy, pola i łąki w pełnym łagodnym blasku słońca.

Nie czuć smętku jesieni — jakaś radość i przedziwny spokój w świecie i w duszy.

Maszeruję ze strzelbą w ręku wraz z gajowym Janem Smorągiem, dobrym myśliwym i strzelcem, przez pola i zręby. — Przed nami przebiega teren wszerz i wzdłuż, ostrowłosy niemiecki wyżeł „Rigo“. — Tu i ówdzie podrywa się stadko kuropatw — lub pomyka szarak.

Strzały padają zrzadka — na polach bowiem pusto — resztki kartofli i buraków dają tylko słabe krycie — stąd zwierzyna przeważnie rusza daleko.

Po dłuższym marszu zdążamy w kierunku starego lasu sosnowego — gdzie rok rocznie jesienią licznie zapadają słonki.

Chcemy przekonać się — czy niema już bodaj pierwszych patroli. — Ubitą zwierzynę zostawiamy w leśniczówce, która leży na naszej drodze, poczem zapuszczamy się w stary sosnowy las. — Słonek ani śladu — tu i ówdzie pomyka zając. — Na wąskiej smudze powstałej z samosiewu żerdziny sosnowej, przetkanej miejscami pojedyńczemi pniami starszych sosen i brzóz, ruszamy zająca. Mimo niezbyt dobrego wystrzału, dałem się unieść gorączce myśliwskiej, i wypaliłem dwukrotnie i to najfatalniej. — Szarak postrzelony znika mi z oczu wśród pni, paproci i poszycia. Puszczam wyżła na ślad i sam szybko podążam za psem.

Zając jednak uszedł cało, widocznie tylko lekko draśnięty — niezadowolony bowiem wyżeł wraca po kilku minutach bez zdobyczy.

Zaledwie pies doszedł do moich nóg, gdy słyszę w gąszczu, skąd nadszedł, tupot, jakby biegnącego konia.

Zwracam się w stronę gajowego z zapytaniem — coby to być mogło? Oświadcza, że nieopodal droga przechodzi przez las, widocznie biegną konie i w tej chwili pokazuje mi ręką domniemanego źrebaka. — Zwracam wzrok w tę stronę i widzę w odległości około 50—60 kroków ogromnego dzika, który szybkim kłusem zbliża się ku nam, idąc wciąż śladem legawca. — Zauważyłem, że dzik biegnie bardzo podniecony, ze zjeżoną szczeciną na grzbiecie, nas jednak dotąd nie widzi.

Zapytuję gajowego, czy nie ma przy sobie kuli, miałem bowiem dubeltówkę nabitą tylko słończym śrutem, a w torbie myśliwskiej jako najgrubszy śrut tylko zajęczak.

Gajowy daje mi cichą odpowiedź, że niema kuli i w tej chwili cofa się powoli wstecz — poczem ciężko winduje się na czterdziestoletnią sosnę. — Tymczasem dzik dobiega do mnie na 30 kroków; stawiam flintę pod średnio grubą i krzywo rosnącą brzozę i drapię się na pień tejże, nie mogąc się wydostać ponad 1 m b. w górę. — Wyżeł tymczasem siada pod brzozą po przeciwległej stronie od dzika i patrzy na mnie jakby z uśmiechem, kiwając pobłażliwie krótko uciętym ogonem.

W tyle za idącym ku nam dzikiem, który okazał się ogromną lochą, przesuwa się kilka warchlaków i znika nam z oczu. Locha mimo naszych szeptów i drapania się na drzewa, dotąd ani nas ani psa nie dostrzegła, wzburzona, gotowa do ataku, szuka wroga i dochodzi do mnie, idąc wciąż śladem psa, na 20 kroków.

Nagle gajowy zakrzyczał możliwie głośno, ja zaś dołączyłem się również dość potężnie. — Locha stanęła i wpatrywała się małemi ślepiami w naszym kierunku. — Kilkakrotnie zahuczała, przyczem szczeć podniosła ostro w górę. — Na dalsze pokrzykiwania gajowego cofnęła się powoli wstecz. Po jakich 20 krokach zwróciła się znów ryjem ku nam i stała w miejscu w pozycji oczekującej, hucząc raz po raz przez kilka minut.

Ponieważ pozycja moja była zbyt niewygodna, zesunąłem się z brzozy, a nabiwszy flintę zajęczakiem, przeczekałem parę minut na miejscu. — Locha cofnęła się znowu powoli dalej w gąszcz. Trzymając psa tu. przy nodze, ostrożnie przesunąłem się w pobliże zagniewanej, nie widziałem jej jednak więcej.

Nasze poszukiwania za długodzióbami były daremne, ruszyliśmy zaledwie jedną sztukę. — Widocznie ciąg jesienny dopiero się rozpoczynał. Przeszliśmy przeto na pola, szukając zajęcy i kuropatw.

Myśl moja wciąż wracała mimowoli do lochy i nie łatwo było mi znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego ten ostrożny i mądry zwierz, który widocznie drzemał wraz z warchlakami w gąszczu sosnowym — nie wyniósł się z miotu zaraz po słyszanych bliskich strzałach, lecz uganiał za wyżłem, który idąc za śladem zająca, musiał natknąć się na drzemiące w barłogu dziki.



LEON TEODOR SKRZYPEK

Miłe wspomnienia jesienne

Przygnębiony, wymęczony kryzysem, w szczególności nie różowemi stosuneczkami handlowo-wekslowo-podatkowemi, szczęśliwym nazwać się może ten, komu danem jest, względnie kto sobie jeszcze na wyjazd w Karpaty na „urlop" pozwolić może. Będąc tym szczęśliwcem, wyrwałem się do ulubionego swego rewiru „Lutowiszcze" na podchodnego, na rogacza.

Wybrałem polanki, gdzie już kilka sztuk z ręki mej padło; obszedłem polankę jedną, drugą i trzecią i nic nie spotkałem. Usiadłem na pniaku w kępce drzew, by podumać, pomarzyć, zrobić ze sobą „rachunek sumienia", jak ja takie chwile nazywam. O bo wtedy zapomina się o wszelkich kłopotach, człowiek czuje się lepszym, mądrzejszym, niewinnym jak dziecko, choć jak zbójca krwi chciwym i dziękuje Bogu, że mu dozwolił rozkoszować się przyrodą. — Kochać może ją ten tylko, kto z nią obcuje, kto wczuwa się w jej tętno, kto słyszy jak „trawa rośnie", kto zachwyca się każdem źdźiebełkiem, trawką, bylinką, roślinką, powietrzem, widokiem i przestrzenią. Ten też i Pana chwalić potrafi.

Ileż radości i szczęścia w takich dumaniach i gadaniach ze samym sobą i w korzeniu się przed Bogiem! Bliżej nieba, bo wysoko w przecudnych naszych Karpatach. Człowiek zapomina o wszystkiem małem, przyziemnem, a staje się czemś lepszem, wyższem. Gdy tak dumam i siedzę jak zaczarowany już prawie pół godziny, słyszę przeraźliwe skrzeki sojek, co mnie wyrywa z marzeń i rozmyślań — bo coś to musi być! Wyraźnie wyczuwam przerażenie sojek i gdy tak się wsłuchuję, posłyszałem ledwo uchwytny trzask i znów głucho, po dobrej chwili łamanie suchych gałązek coraz większe, głośniejsze i blizsze.

Przycupnąłem za bukiem; chwila emocjonującego wyczekiwania; co to może być, jeleń — nie, to cięższy jakiś chód, może dzik, ale kolos jakiś chyba, bo chód ciężki, trzask coraz większy — czyżby chłop jakiś lub kłusownik, lecz nie — wykluczone, drągowina gęsta, podszyta mocno, przeplatana brzózkami, coby tam robił chłop czy kłusownik i po co by się tak skradał. — Spokojnie po cichu, ładuję swego drylinga drugą kulą i czekam cierpliwie, co dalej będzie. Znów po dobrej chwili trzask coraz głośniejszy w kierunku mego stanowiska. Czyżby to niedźwiedź, lecz gdzieżby tutaj zalazł niespodziewany. Przedemną las o 40 kroków, to „coś" zbliża się coraz bardziej — podnoszę pomalutku broń do ramienia i trzymam tak dobrych 8—10 minut. Nie wychodzi, już nie wątpię, że to niedźwiedź, poruszył się znów w gąszczu w drągowinie, lecz nic nie widzę; — znów oko na muszce, tak trzymam broń minut 4—5 i nic nie wychodzi, opuszczam broń po malutku, ostrożnie, miarowo, bo ręka się kiwać poczęła.

Tuż koło lasu na polanie leży ogromna kupa — kilka zwalonych drzew i ogromny kopiec gałęzi, gałązek posprzątanych z polanek przez gospodarza. Trzask dalej się zaczyna w kierunku tej właśnie kupy, odległej od kraju lasu, jak się później przekonałem, o 2½ metra.

Niedźwiedzica ogromna, bo ona to była, pozostawiwszy swoje dwa piastuny w tyle, wyszła z lasu za tą właśnie kupę, wietrząc głośno, trzepiąc łapami, furcząc, burcząc i złoszcząc się. Wyczuwało się, że chce tego kogoś nieznanego, wroga-człowieka, czy też innego jakiegoś śmiałka wystraszyć. Wstrzymałem oddech i czekam, co dalej będzie. I znów cisza piekielna, złowroga, conajmniej minut pięć. Cóż jest u licha, czemu nie wyjdzie; aleś mądra, myślę sobie i raduję się jak małe dziecko z takiej pięknej chwili. Dumanie moje przerywa silniejsze wciąganie powietrza, pomrukiwanie groźne.

Uderzyła łapą w kupę, aż się zatrzęsła i nadsłuchuje — za chwileczkę widzę dobrze, jak z górnej warstwy wysuwa się, w przeciwnym do mnie kierunku potężny buczek, jeszcze moment i buczek ten leci ponad kupą w moim kierunku na kilka metrów. O! myślę sobie to i niedźwiedzie rzucają „dyskiem" i uśmiecham się szczęśliwy sam do siebie. Chce mnie koniecznie wystraszyć i sprowokować, bym się zdradził z moją kryjówką i osobą. — Jakaż uciecha, radość, wdzięczność, zalały me serce. — O dzięki Ci św. Hubercie za to spotkanie, które w pamięci przez całe życie zachowam! Potrzepała się łapami po piersiach, pozłościła się, pomamrotała, pobełkotała, popyskowała i truchcikiem zdezerterowała w kierunku, dosyć hałaśliwie potem się zachowujących — piastunów.

Wyszedłem z ukrycia na polanę i wyczytałem ze śladów, że była to ogromna niedźwiedzica, a dalej dwa piastuny. Rozumie się, że miejsca tutaj już dla rogaczy nie było, gdzie „mieszkała" chwilowo królowa naszych Karpat — niedźwiedzica, z małemi. Czyż taka emocja, takie przeżycie nie jest nagrodą wielką, niebiańską, za nasze troski codzienne. Czyż może być coś wspanialszego nad taką uciechę.

To też kto może, kogo jeszcze stać na to, kto ma nerwy skołatane, serce płaczące, zgryzoty i kłopoty, kto może i chcę być szczęśliwym, choć na chwilę niech jedzie w Karpaty, pomarzyć, pogawędzić z ptaszkami, roślinkami, z naturą, a jeżeli nie będzie mu danem przywieźć jakieś trofeum, niech i tem się nie zraża, wystarczy mu na długi czas sama radość bytu i pobytu w górach.



WŁADYSŁAW GÜRTLER

Okupacyjne prawo łowieckie

W latach 1916—1918, pozostawał prawie cały zachodni Wołyń pod okupacją austrjacką. Duży szmat ziemi między Bugiem na zachodzie, a Styrem na wschodzie i od Prypeci na północy po granicę dawnej Galicji na południu, objęły w zarząd wojska austrjackie i urządziły tam swój etap przyfrontowy. Czując na czas dłuższy przewagę militarną, rozpoczęły już w początkach roku 1916 normalną administrację tego kraju i wydały w lecie roku 1918 drukiem instrukcję, obejmującą zasady postępowania dla wszystkich dziedzin zbiorowego życia. A więc przepisy samorządowe dla gmin wiejskich, dla gospodarki ogólnej, spraw kulturalnych i politycznych,

przepisy policyjne, meldunkowe i administracyjne, dla wymiaru sprawiedliwości, sanitarne, przemysłowe, dla wyżywienia ludności cywilnej, dla łowiectwa, szkolnictwa, poczty, notarjatu i t. d.

Nas jednak interesuje z wielu powodów ustawa łowiecka i ją też w wiernem tłumaczeniu podajemy.

... Art. 10. ŁOWIECTWO I RYBOŁÓSTWO.

A) Ogólne postanowienia.

1) Regulowanie spraw łowieckich i prawa polowania, zastrzega sobie Komenda Etapu we Włodzimierzu, która też prowadzi wszystkie odnośne agendy.

2) Na polowania indywidualne zezwala się wszystkim oficerom, podchorążym, urzędnikom wojskowym i mieszkającym na Wołyniu lojalnym ziemianom na podstawie wystawionych przez Komendę Etapu kart łowieckich, z tem zastrzeżeniem, że czasy ochronne będą ściśle przestrzegane.

3) Należytość za roczną kartę łowiecką w kwocie 30 K wpłaca się do kasy Komendy. Ważność jej zaczyna się z dniem wykupienia. Czasy ochronne uwidoczniono na jej odwrotnej stronie. Osoby cywilne mają się zaopatrzyć nadto w roczną kartę na broń i opłacić markę stemplową za 2 K. Na tym dokumencie umieszcza się fotografję myśliwego, tudzież dokładny jego rysopis. Karta na broń uprawnia do noszenia strzelby lub rewolweru.

Przy wykonywaniu polowania, muszą osoby cywilne mieć przy sobie zawsze oba te dokumenty. Polować wolno tylko ze śrutówką.

4) Każde przekroczenie przepisów łowieckich, karane będzie bez różnicy stanu i stopnia służbowego według ustaw krajowych grzywną od 50 do 2.000 K przez Komendę Etapu. Żołnierzom i osobom cywilnym odbierze się nadto broń palną.

Grzywny wpływają do kasy Komendy.

5) Osobom, przeznaczonym przez Komendę do pilnowania polowania i do ochrony lasu, wydaje Komenda specjalne legitymacje, dające im uprawnienia żandarmerji polowej.

Polować im jednak nie wolno.

6) Żandarmerji polowej muszą osoby polujące pokazywać na każde jej żądanie kartę łowiecką. W braku tejże następuje bezzwłocznie zakaz dalszego polowania i spisanie protokołu...

7) Chwytanie zwierzyny za pomocą sideł drucianych i pasa, wybieranie jaj kuropatwich i kaczych, jak również i trucie lisów, jest każdemu najsurowiej wzbronione.

Natomiast odstrzał drapieżników, jak lisów, kun, tchórzy, gronostajów, borsuków, wyder, wreszcie sokołów wędrownych, krogulców, błotniaków zbożowych i kań, a przedewszystkiem jastrzębi gołębiarzy jest rzeczą wielkiej doniosłości.

8) Wszelki handel zwierzyną, zwłaszcza w czasie ochronnym, jest wzbroniony. Wywóz dziczyzny osobom cywilnym najostrzej zakazany.

9) Urządzanie polowań zbiorowych z naganką, zależy zawsze od zezwolenia Komendy Etapu.

10) Komendanci powiatów winni prowadzić w ewidencji bogate w zwierzostany rewiry i znać dobrze wszelką, przebywającą w nich zwierzynę łowną.

11) Komendy powiatowe czuwają pilnie przy pomocy żandarmerji polowej nad ścisłem wykonaniem powyższych przepisów, tudzież mają postarać się o to, aby poznali je dokładnie także i wszyscy strażnicy łowieccy i lasowi.

B. Polowania służbowe.

1) Na uzasadnioną prośbę ludności, urządzi Komenda Etapu tam, gdzie zwierzyna czarna lub płowa czyni wielkie szkody na polach i ogrodach albo tam, gdzie drapieżniki (wilki, rysie, lisy), wyrządzają szkody wśród zwierząt domowych, polowania służbowe.

2) Obławy zarządza każdorazowo Komenda Etapu.

3) Ubitą na takich polowaniach zwierzynę odstępuje wojsku i szpitalom po cenie 2 K 50 h za 1 kg dziczyzny (jeleń, dzik, sarna)).

Pieniądze wpływają do kasy wojskowej.

Trofea myśliwskie i drapieżniki są własnością strzelca.

C. Rezerwat myśliwski.

Na obszarze: Korytnica nad Bugiem — Stęzarzyce — Puzów — Zabłocie — Stawki — Władynopol — Murawa, Kładniów — Korytnica, posiada Komenda Etepu rezerwat myśliwski, w którym nie wolno nikomu polować bez jej specjalnego pozwolenia, ani też wchodzić bez żadnego powodu.

Na reprezentacyjne polowania, urządzane niekiedy w rezerwacie, wysyła Komenda swoje zaproszenia.

D. Fundusz łowiecki.

Z dochodów uzyskiwanych na polowaniach służbowych i w parku ochronnym, tworzy Komenda t. zw. fundusz łowiecki. Z niego wydaje się pewne kwoty na urządzanie polowań służbowych i udziela się nagród dla gorliwych strażników łowieckich.

Pozostałe po roku budżetowym sumy, przeznacza się na wsparcia dla wdów i sierót.

E. Rybołóstwo.

1) Połów ryb na wszystkich wodach Wołynia, jest wolny, z wyjątkiem wód wydzierżawionych prawomocnie.

2) Na prawym brzegu Bugu i we wszystkich innych wodach Wołynia, przysługuje prawo połowu ryb tym gminom, które posiadają t. zw. prawo brzegu. (Uferrecht).

3) Ryb poniżej 8-miu cali długości, łowić nie wolno.

4) Zabrania się najsurowiej połowu zapomocą dynamitu i trucia.

5) Te jeziora i stawy, których właściciele są nieobecni, wydzierżawia Komenda Etapu według swego uznania.



Z Karpat

W ostatnim numerze „Łowca" przedstawiliśmy rezultat tegorocznych łowów na rykowisku w Karpatach, dziś podajemy go w dalszym ciągu:

Oba jelenie Ks. K. Czartoryskiego (8,6 i 11 kg) oraz jeleń p. Dr. B. Longchamps (9 kg) jak widzimy z wagi wieńców, są wysokiej klasy.

W Suchodole ubił gen. K. Fabrycy 14-aka, w Iłemni ubił gen. Sosnkowski dobrego 14-aka, a jego małżonka kapitalnego 14-aka.

W Skolem najgrubsze ubili pp. Domański i Kaczorowski (14-aki).

W Kosmaczu ubił 12-aka p. Marcinkiewicz (nie Maremkiewicz, jak mylnie podano).

W Wełdzirzu prócz poprzednio podanych, ubili: hr. Aponyi kapitalnego 18-aka, hr. Karoly starszy dobrego 12 i 10-aka, br. Gutmann 2 kapit. 14-aki.

W Perehińsku ubiła hrabina Palfy niedźwiedzia.

W Dębinie koło Skolego padły 4 byki, w Kruszelnicy 2, w Sopocie nad Stryjem 1.

Jest to więc wspaniały rezultat (64 wiadomych nam byków, ubitych w wschodnich Karpatach) pod względem ilościowych, ale też i pod względem jakościowym, gdyż zanotować mogliśmy potężną liczbę kapitalnych. Na temat ten nasuwają się nam pewne refleksje, którym damy wyraz w najbliższym czasie.

Byłoby bardzo pożądanem, aby pp. myśliwi polujący w górach przysyłali nam sprawozdania z rykowisk, uważamy, że jest to ich obowiązkiem, jako członków M. T. Ł.

Prosimy o fotografje kapitalnych wieńców z podaniem wagi i rozmiarów, celem reprodukcji w „Łowcu". *A. M.*

Conseil International de la Chasse

Ze sekretarjatu M. Z. Ł. otrzymujemy poniższy komunikat z prośbą o umieszczenie go w naszem czasopiśmie.

Ochrona fauny afrykańskiej a turystyka napowietrzna.

Prezydent Międzynarodowego Związku aeronautycznego, Książę Grzegorz Bibesco i Prezydent M. Z. Ł. Pan Maxime Ducrocq, odbyli w czasie uroczystości pięćdziesięciolecia Królewsko rumuńskiego zamku w Peles kilkakrotne konferencje w przedmiocie ochrony grubej zwierzyny egzotycznej przed samolotami. Wiadomo bowiem, że samoloty latając nieraz zbyt nisko w okolicach zamieszkałych przez słonie, nosorożce, żyrafy, antylopy i inne wielkie zwierzęta, wywołują u nich taki strach paniczny, iż wiele z nich ginie, łamiąc sobie w ucieczce nogi i stając się następnie łupem zwierząt drapieżnych. Nadto niektórzy lotnicy, mimo wydanych w tym względzie zakazów, strzelają do tych zwierząt z powietrza, raniąc je lub zabijając, bez ich podnoszenia. — Obaj Prezydenci w zupełnem porozumieniu ze sobą, omówili środki, mające zapobiec tym okrutnym igraszkom.

Na skutek kroków poczynionych przez Sekretarza generalnego M. Z. Ł. u Prezydenta Międzynarodowej Ligi aeronautycznej i u francuskiego Ministra awjatyki, wydano lotnikom instrukcje, by nad wspomnianemi terenami nie przelatywali w mniejszej wysokości jak 600 metrów, a to w celu przyzwyczajenia grubej zwierzyny przez lat kilka do widoku samolotów i do warczenia motorów.

Nadto zwrócono się do Rządów wszystkich Państw, mających kolonje w Afryce z prośbą, o wydanie takich samych rozporządzeń w przedmiocie ochrony fauny afrykańskiej. Tłum. A. Sander.

Korespondencje

Łowiecki wyczyn młodego myśliwego

Od dłuższego czasu niepokoił ciche podwórze, na którem przebywało sporo kur i gołębi domowych — duży jastrząb-gołębiarz.

Drapieżnik ten siadając w pobliżu zagrody, otoczonej ze wszech stron lasem, wpadał nagle tam i porywał gołębie, które nieświadome niebezpieczeństwa, siadały spokojnie na dachu pobliskiej stajni, i uchodził z łupem w głąb lasu.



Przypatrywał się temu niemal codziennie młodociany myśliwy, Ceś z Turzy, uczeń klasy IV-tej gimn. dębickiego, spędzając wakacje w domu rodzicielskim i mając przy sobie nieodstępnego przyjaciela-dwulufkę kaliber 16, którą otrzymał od rodzica za dobre świadectwo.

Mijały tak dnie — a drapieżnik jastrząb, ulatywał zawsze ze zdobyczą bezkarnie, nie pozwalając nawet zbliżyć się do siebie.

Aż wreszcie dnia 9 sierpnia b. r., Ceś celnym strzałem położył kres życiu drapieżnika. — Trafiony śmiertelnie w locie, zachwiał się jastrząb nad podwórkiem, wypuścił ze szponów gołębia i spadł duży i ciężki na ziemię.

Radość młodocianego myśliwego nie miała granic... Tyle dni, spędzonych w wyczekiwaniu — tyle przemyśliwań, by podejść drapieżnika, dały wreszcie wynik pożądany.

Ilustracja przedstawia właśnie młodocianego myśliwego ze swojem trofeum po strzale.

Młodocianemu myśliwemu życzymy dalszych sukcesów pod sztandarem św. Huberta.

Franciszek Dudek
delegat Małop. Tow. Łowieckiego
na powiat Kolbuszowski.

Turza, wrzesień 1933 roku.

Mój kapitalny

Chyrów, we wrześniu 1933 r.

Marzyłem długo już o zabiciu kapitalnego rogacza. Nasłuchałem się dosyć gawęd i opowiadań różnych starych myśliwych, którzy może mało co innego w swojem życiu robili, jak tylko polowali, a tylko niektórzy z nich doznali tej szczególnej łaski Św. Huberta, w postaci spotkania się z kapitalnym rogaczem.

Marzenia moje miały się prędzej spełnić nawet, niż śmiałem o tem pomyśleć. Otrzymałem ja i mój brat pozwolenie na odstrzał kilku rogaczy dzięki uprzejmości i gościnności p. hr. P. Borkowskiego, który nas zaprosił do siebie do Młynisk (Młyniska 50 km na zachód od Tarnopola).

Wzięliśmy więc ze sobą sztucery, ja Mausera 8 mm, mój brat Schoenauera 6,7 mm. O godz. 3-ciej popołudniu wysiedliśmy w Dereniówce, a stamtąd 8 km jeszcze końmi. W Młyniskach zamieszkaliśmy w pałacu, który z powodu remontu po doszczętnem spaleniu, nie gościł w swych murach nikogo prócz służby.

Pałac położony przepięknie wśród lasu, który tworzy rodzaj parku angielskiego. Wróćmy jednak do tematu myśliwskiego. — Po podwieczorku zapoznaliśmy się z dwoma nadleśniczymi, pp. B. Załanowskim i M. Załanowskim. Na pytanie czy są rogacze, otrzymaliśmy odpowiedź twierdzącą, a nadto zapewnienie, że jeżeli tylko ostro się do nich zabierzemy, to rozkład będzie ładny.

Mieliśmy dwa kompleksy lasów do dyspozycji, rewir Młyniska i rewir Słobódka. Postanowiliśmy więc losować — na mnie przypadły Młyniska, na brata Słobódka. Teraz ogarnęły mnie pewne wątpliwości, czy może on pojechał na lepszy rewir i wróci z koziołkiem, a ja z pustemi rękoma.

Jednak wątpliwości moje rozwiały się prędko pod wpływem słów p. Z., który mi powiedział, że tu niedaleko znajduje się hreczka, gdzie wychodzi kozioł o kapitalnie wysokich rogach.

Idziemy sobie powoli i rozmawiamy naturalnie na tematy myśliwskie. — Wtem dochodzi do naszych uszu odgłos dalekiego strzału, poznaję, że to Schoenauer mego brata przemawia, pewno gdzieś tam rogacz już leży. W pół godziny potem drugi strzał. — No proszę pana, odzywam się do mego towarzysza, żebyśmy tylko z czemś wrócili, gdyż tamci mają napewno rogacza, o ile nie dwa. — Pan Z. zapewnia mnie, że rogacz będzie już na hreczce, gdyż jesteśmy cokolwiek spóźnieni.

Przychodzimy więc na hreczkę, łan wielkości 5-ciu morgów, z czterech stron zamknięty lasem. Narazie nic nie widzę. Naraz p. Z. mówi: — O jest patrz pan, stoi w środku hreczki. Chwytam za szkła, patrzę i widzę, że stoi w odległości może 120 kroków rogacz, a o 10 kroków od niego siuta. Obserwuję dokładnie rogi, wysokość fenomenalnie wysoka w porównaniu do łyżek.

Rozgałęzień rogów dobrze nie widzę, sądzę jednak po wysokości, że musi to być ósmak. Kozioł jednak obserwacji mojej nie przyjął biernie ze swej strony, gdyż i on zaczął obserwować nas, patrząc niechętnym okiem na intruzów.

Zaczynam podchodzić, by mieć pewny strzał. Rogacz stoi jednak jak skamieniały, oczu nie spuszcza jednak ze mnie.

Doszedłem na jakie 80 kroków, a myślę sobie: szedłem tyle, jeszcze 10 kroków nie zawadzi, zawsze strzał będzie pewniejszy. — Jednak rogaczowi było już dosyć tych manewrów i w małych susach uciekł na kraj łanu, gdzie stanął pod ścianą leśną. Poszedłem w las razem z p. Z, naraz słyszę przyciszony głos mego towarzysza: — Strzelaj pan, stoi na 30 kroków. — Patrzę, rzeczywiście rogacz podszedł do nas na jakie 30 kroków. Klękam na ziemi, sztuciec opieram o najbliższe drzewo i już mam komorę rogacza na krzyżu od lunety, ciągnę za przyśpiesznik, cichy metaliczny dźwięk naciąganej sprężyny, rogacz znika mi z lunety. — W szalonych susach pędzi na jakie 150 kroków w dół lasu, naraz zatrzymuje się i zaczyna bekać, aż echo rozlega się po lesie.

Co ze mną się działo, nie potrafię opisać, serce i skronie biły mi jak młoty w kowadło. Byłem już całkiem pewny, że rogacz stracony bezpowrotnie. Schodzimy cichutko linją na dół, rogacz nas widzi z daleka, jednak stoi spokojnie. Dochodzimy na 70 kroków, rogacz powoli przechodzi przez linję.

W tym momencie rzucam sztucer do ramienia, widzę jak krzyż spoczywa na szyi rogacza. Ciągnę za cyngiel, pada strzał i rogacz niknie mi z lunety:

— Leży, leży — słyszę jak przez mgłę głos mego towarzysza. Biegniemy obaj na złamanie karku. Rogacz leży z piękną kulą w szyi i kończy życie.

Przyznam się, że doznałem pewnego rodzaju rozczarowania, myślałem, że będzie ósmakiem a to był szóstak.

Wysokość rogów jednak kapitalna (29,5 cm) róże i uperlenie dobre, czarne są do ¾ wysokości. Rozmiar całego kozła ogromny (po wypatroszeniu i ucięciu głowy 30 i pół kg).

P. Z. składa mi gratulacje, ja dziękuję cicho w duszy Św. Hubertowi za spełnienie mych najskrytszych marzeń. — No a teraz, z czem mój braciszek się pokaże i co powie na mego rogacza. — Jednak pokazał się ładnie, gdyż przywiózł ze Słobódki dwa rogacze, widłaka i ładnego szóstaka (obie kule komorowe).

Dzień więc ten był najładniejszym ze wszystkich dni myśliwskich naszego życia. Stefan Szczepański, uczeń kl. VII.

* * *

Początkującemu myśliwemu odradzamy usilnie używania lunety. Dobre, młode oko, pewna ręka i nienaruszone nerwy, zastępują ją w zupełności. Młody strzelec, chcąc osiągnąć doskonałość w strzelaniu kulowem, musi ćwiczyć się w strzelaniu do stałych i ruchomych celów przez celownik i muszkę. Używanie lunety przeszkadza w wyszkoleniu się w strzelaniu kulą. Strzał na 150 kroków, a tem bardziej na 80 kroków do rogacza, był matematycznie pewny, tak z lunetą, jak i bez niej. Zamiast więc narażać się na spłoszenie zwierza niepotrzebnem podchodzeniem, należało już strzelać. — Niezależnie od przytoczonych tu uwag, winszujemy młodocianemu myśliwemu wspaniałej zdobyczy. Red.

Z Polskiego Związku Stow. Łowieckich

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 19 września 1933 r.

Sprawę zniżek kolejowych dla członków Związku, odłożono do następnego posiedzenia Wydziału Wykonawczego, wskutek nieobecności referenta tej sprawy, p. Gędziorowskiego.

Wobec zorganizowania Sekcji Ochrony i Hodowli Łosia, Związek zwrócił się do pp. wojewodów nowogródzkiego, poleskiego, wileńskiego i wołyńskiego z prośbą, aby, przed udzieleniem zezwoleń na odstrzał łosi, zasięgali opinji Związkowej Sekcji Ochrony i Hodowli Łosia.

Zgodnie z opinją Związku, p. wojewoda nowogródzki udzielił Jarosławowi hr. Potockiemu zezwolenia na odstrzał 2 łosi w dobrach Rzepichowsko-Chotynickich; p. wojewoda poleski temuż petentowi zezwolił na odstrzał jednego łosia.

P. wojewoda poleski zezwolił Karolowi ks. Radziwiłłowi na odstrzał 4 łosi w Ordynacji Dawidgródeckiej, choć petent w podaniu swem, zaopinjowanem przychylnie przez Związek, prosił o zezwolenie na odstrzał 7 łosi. Z uwagi na zasługi ks. Radziwiłła dla hodowli łosi, Związek prosił p. wojewodę poleskiego o zmianę decyzji i o zezwolenie na odstrzał 7 łosi. P. wojewoda do wniosku tego przychylił się.

Zgodnie z opinją Związku, p. wojewoda poleski zezwolił Maurycemu hr. Potockiemu na odstrzał w obwodzie łowieckim maj. Hoszczewo 1 łosia.

Starosta powiatowy w Kosowie Stanisławowskim, p. Galotzy, nadesłał na prośbę Związku, informacje co do strat, wyrządzanych przez niedźwiedzie. Informacje te stwierdzające znaczną przesadę podawanych w prasie codziennej notatek, postanowiono zamieścić w „Łowcu Polskim".

Starosta powiatowy w Prużanie p. M. Lisowski, na prośbę Zw., nadesłał informacje o zarządzonej przez siebie obławie na wilki. Obława ta wskutek zalania bagien, nie doszła do skutku.

Na wniosek p. Maurycego hr. Potockiego, Wydział Wykonawczy nadał bronzowy medal zasługi łowieckiej st. przod. Franciszkowi Radwańskiemu, komendantowi posterunku policji państw. w Kosowie Poleskim, za gorliwą i skuteczną walkę z kłusownikami.

Delegat Związku w powiecie Grudziądz, p. E. Dębski, nadesłał wniosek starostwa powiatowego w Grudziądzu o przyznanie nagrody posterunkowemu Wacławowi Sobolewskiemu (post. P. P. w Piaskach) za odebranie broni kłusownikowi, niejakiemu Sylwestrowi Murawskiemu. Ponieważ Związek funduszów na nagro-

dy pieniężne nie posiada, a pojedyńczy fakt odebrania broni kłusownikowi nie jest jeszcze czynem, zasługującym na odznaczenie medalem zasługi łowieckiej, wniosek ten załatwiono odmownie.

Przyjęto do wiadomości rezygnację p. Walerjana Marowskiego z mandatu delegata Związku na powiat Jędrzejów (woj. kieleckie).

Przyjęto do wiadomości treść okólnika nowomianowanego Oddziału Wojewódzkiego Związku, Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego z sierpnia r. b., rozesłanego do członków, nawołującego między innemi do prenumeraty pism łowieckich, do zamawiania Kalendarza Myśliwskiego na rok 1934, oraz do obesłania rozpisanego przez redakcję „Łowca Polskiego" konkursu fotograficznego.

Towarzystwo Łowieckie na powiat częstochowski, wyraziło gotowość przystąpienia do Związku, o ile Związek obniżyłby przypadającą składkę do wysokości zł. 2,— od członka na przeciąg 2-ch lat. Wydział Wykonawczy nie znalazł podstawy statutowej do obniżenia składki od Stowarzyszeń, wykonywających prawo polowania i z tego powodu na propozycję wymienionego Towarzystwa nie mógł się zgodzić.

Deklarację i akta Kółka Łowieckiego w Porębie koło Zawiercia Wydział Wykonawczy uchwalił przedstawić Zarządowi Związku z wnioskiem o zaliczenie wymienionego Kółka w poczet Stowarzyszeń Związkowych.

Kalendarzyk myśliwski

Według prawa łowieckiego z 3 grudnia 1927, wolno polować w listopadzie na wszelką zwierzynę łowną, za wyjątkiem oczywiście tej, na którą w myśl art. 48, tego prawa wogóle polować nie wolno, tudzież za wyjątkiem jeleni-byków i danieli-rogaczy i głuszców. Na skutek jednak kilku rozporządzeń Ministerstwa rolnictwa i reform rolnych, wydanych później, a w tym roku jeszcze w całej pełni obowiązujących, nie wolno w listopadzie polować też na: niedźwiedzie, rysie, żbiki, kuny leśne (tumaki) i norki tudzież na wiewiórki, a dalej na łosie-byki, sarny-kozły, dropie i dropie-kamionki (strepety), a wreszcie w województwach: wileńskiem, nowogrodzkiem, białostockiem, poleskiem, wołyńskiem, krakowskiem, lwowskiem, stanisławowskiem i tarnopolskiem na kuropatwy.

KOMUNIKAT

Starosta powiatowy limanowski zawiadamia, że w piątek, dnia 3 listopada 1933 r., o godzinie 10-tej przed południem, odbędzie się w tut. Starostwie (parter), publiczna licytacja skonfiskowanej broni, oraz licytacja łomu żelaznego z broni myśliwskiej i krótkiej.

Sprzedanych zostanie kilkanaście sztuk broni myśliwskiej i krótkiej.

Do licytacji stanąć mogą tylko osoby zaopatrzone w karty na broń, zaś do sprzedaży łomu, karty nie będą potrzebne.

Kierownik Starostwa *Malkowski*.

TREŚĆ NUMERU 21:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł. 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4 - 32